

ZAŁOGA

— Tu „Kamila-45”, dla mnie start!
— Zezwalam.
— Włączam stoper!
Srebrny kolos zadygotał, nabie-

rając pełnej mocy silników. Położyła się pokotem trawa za polem startowym, wymiotło do czysta betonowy pas. Dźwięk tężał, przechodząc w wysoki ryk tysięcy koni mechanicznych.

Maszyna zwolniona z hamulców przez kpt. Kowalik, wyrwała do przodu. Z daleka mignęła tylko w przelocie twarz strzelca pokładowego, zawieszona w kulistej, błyszczącej kabinie, niczym w ogromnej szklanej bańce. Któż by w tej rozmazanej plamie, ujętej w grube kontury chelmonofonu, rozpoznał twarz starszego sierżanta Andrzeja Jankowskiego? Zazwyczaj pędzi on na trochę wolniejszych obrotach motocykla z kijami i plecakiem wypełnionym sprzętem i przynętą.

Kowalikowi, Jankowskiemu i Bobkowi nie były teraz ryby w głowie. Maszyna rabierała wysokości, kierując się nad wytyczony rejon działania.

Kpt. Zygmunt Kowalik, uwięziony w przepastnym fotelu pilota, nieustannie wpatrywał się w zegar wysokościomierza, jeden spośród dziesiątek zegarów pokładowych. One decydować miały o precyzji lotu, a stoper był wśród nich głównym drogowym. To najpewniejszy informator, który się nigdy nie myli w przebytej trasie. Przy tych szybkościach tylko wątpliwość wskazywała stopera i czas naniesiony na mapę mogą bezzłownie określić położenie „Kamili” w powietrzu.

— Uwaga, zgrupowanie artylerii! — Głos nawigatora zachrobotał w chelmonofon załogi. Radiotelefon był dla niej jedyną nicią łączącą wszystkich członków „Kamili” i tych tam na dole, z obsługi naziemnej.

Pilot sprowadził maszynę do prze widzianej wysokości. Sierżant poprawił się w fotelu, wyciągając wzrok.

Choć to trzech ludzi, o różnym intelekcie, charakterze, usposobieniach i obowiązkach, tworzą razem jeden precyzyjnie pracujący mózg. Tylko absolutna zgodność działania tych trzech, pewność, że każdy z nich zrobi właśnie to co konieczne, tylko to decyduje w tej chwili o powodzeniu lotu.

Po IV Plenum KC PZPR

Na co te rezerwy?

Przypominam sobie rozliczne tragedie „zimy stulecia”. Pamiętam natomiast inne zjawiska, które mogły doprowadzić (choć na szczęście nie doprowadziły) do wręcz nieodwracalnych szkód gospodarczych.

Elektrownie w północnej części kraju miały zapasy węgla, wystarczające czasem tylko na jeden dzień, a nawet na kilka godzin. Zakłady chemiczne o produkcji ciągłej stanęły przed niebezpieczeństwem całkowitego zahamowania pracy z braku paliwa i energii, co w niektórych przypadkach oznaczałoby wielomiesięczne przestoje połączone z generalnymi remontami. Liczne zakłady przetwórcze zmniejszyły produkcję do minimum, bowiem zapasy surowców we własnych magazynach nie wystarczały na dłużej niż kilka dni...

Dlaczego tak się działo? Czy nie stać nas było na zgromadzenie odpowiednich zapasów niezbędnych materiałów i surowców? Oczywiście, można było to zrobić odpowiednio wcześniej, ale wówczas nie zdawano sobie tak powszechnie — jak dziś — sprawy ze znaczenia tworzenia niezbędnych rezerw. Chodzi tu szczególnie o rezerwy nie tylko w zakresie zapotrzebowania materiałowo-technicznego, ale o rezerwy w ogóle — we wszystkich dziedzinach. Bo wszechobecne, nieoczekiwane trudności bywają powodowane nie tylko niespodziankami pogody.

Obecnie system rezerw — to nieodłączna część przygotowywanego na najbliższe 5-lecie planu gospodarczego.

Wiadomo, że kosztorysy przeróżnych obiektów inwestycyjnych są często przekraczane. Czasami przekroczenie to jest skutkiem rozrzućności i niedoświadczenia, i z takimi przejawami trzeba zdecydowanie skończyć. Ale czasem też jest to wynikiem światowego postępu technicznego; w toku

A przecież każdy z nich jest inny na ziemi. Kpt. Kowalik, szczerpiący drobny mężczyzna, który trafił do bombowców tylko dzięki silnej woli (pamięta te słowa sprzed kilkunastu lat „taki młody do bombowców”). Nie chciał być myśliwcem, mimo całej romantyki samodzielnego „łowów”. On właśnie wolał „jak po sznurku”, nad cel, bo to zawsze trudniej. I dopiął swego. Twardy ma charakter ten syn górnika. Jest zrównoważony i w powietrzu, i na ziemi. Lubi wolne popołudnie, kiedy sadza w samochód Ulę, Bożenkę, żonę Natalię i wywozi je nad jezioro. Ale rybne!

Nieraz przyjeżdża tam porucznik Czesław Bobek. Też Ślązak i też — wędkarz. To ich jedyne wspólne

23. VIII.

— Dzień Lotnictwa

cechy. Bobek pod maską spokoju i opanowania kryje żywiołową energię trzydziestolatka. Zdradzają ją „niewinne” niebieskie oczy, szybkie ruchy i refleksy szermierza. To ważny walor nawigatora. A przy tym wszystkim mówi mało, zwłaszcza o sobie — cecha wszystkich lotników. Oni nie lubią mówić o tym, co było w powietrzu. Nie sposób bowiem ująć w zwykłe słowa przeżyć, rozgrywających się nieraz w sekundach i decydujących o życiu. Toteż Bobek nie chce zdradzić, co przeżywał, gdy zapalił się silnik bombowca, a do bazy dzielił ich szmat drogi. Gdy wylądowali na własnym lotnisku, wbrew rozkazom „ziemi”, Bobek był wtedy mokry, jakby wyszedł z kąpieli. Jakież rozsadzały go wówczas myśli, by opanować maszynę, niosącą we wnętrzu małą elektrownię, wielki zbiornik paliwa i całe kilometry kabli?...

Połączeniem charakterów dowódcy — pilota i nawigatora jest strzelec pokładowy st. sierż. Jankowski. Żywy, wesołego usposobienia, zawzięty kibic sportowy. Pasjonuje go walka na boisku, ringu — i ta w powietrzu. Jego miejsce w „Kamili” znajduje się z tyłu bombowca, w najbardziej czułym punkcie każdego bojowego samolotu.

Kabina gwałtownie poderwała się do góry. Już! Czesiek opróżnił luki — przemknął przez myśl Jankowskiemu. Bacznie patrzył przed siebie na cel, znany doskonale z ma-

budowy okazuje się, że istnieją już lepsze, niezaplanowane, rozwiązania lub urządzenia, na które należy wydać większe sumy pieniędzy. W ostatecznym rachunku przedsięwzięcie jest ze wszech miar opłacalne. Ale wydatek inwestycyjny jest większy. To jedna strona zagadnienia.

Drużyna — to nagła potrzeba (czy to ze względów eksportowych czy też wymagań rynku wewnętrznego) wybudowania nowego zakładu, nie uwzględnionego w obowiązującym już planie. I na taki cel trzeba mieć

Dokończenie na str. 2

W Pałacu Działyńskich przy Starym Rynku w Poznaniu mieści się Zakład Archeologii Wielkopolski i Pomorza Instytutu Historii Kultury Materialnej PAN. Kiedys nim prof. Wojciech Kočko. Jednak w okresie od wczesnego lata do późnej jesieni, rzadko można spotkać pracowników naukowych Zakładu w ich poznańskiej siedzibie. Wielka rodzina archeologów polskich obozuje bowiem na stanowiskach badawczych, poszerzając obraz naszych pradziejów o coraz ciekawsze dokumenty historii. Jednym z ważniejszych punktów badań poznańskiego Zakładu jest m. in. Stacja Archeologiczna w Kołobrzegu, obecnie zajmująca się wykopaliskami w Bardach i Świelubiu pod Kołobrzegiem.

Bardzo to mała wioska, więc obozowisko archeologów wskaże tu każde dziecko. Młodzi naukowcy są „oczkiem w głowie”. Ich praca otoczona jest powszechnym zainteresowaniem i szacunkiem.

Młodzi chłopcy z Bard, których zaangażowano do pomocy w pracach technicznych — mówi pełniący obowiązki kierownika stanowiska mgr Władysław Łosiński — są tak zafascynowani naszą pracą, że już po kilku dniach zdali w pełni egzamin inteligentnych współpracowników. Pracujemy tu zresztą już trzeci rok i zdołaliśmy się żyć z okoliczną ludnością.

W towarzystwie Władysława Łosińskiego i jego współpracownicy mgr Aliny Urbańskiej wspina-

tygodnia

POGLADY
POLEMIKI
POSTULATY

NR 200 22. VIII. 1965 Rok V

py. Wysokie słupy dymu skwitował meldunkiem:

— Cel nakryty!
— Ziemia, ziemia, tu „Kamila-45”, zadanie wykonane — poszło w eter.

Mijała dwudziesta minuta lotu. Wrócili do bazy.

Czterdzieści minut w powietrzu, kilka sekund nad celem, dla wykonania ćwiczebnego zadania bojowego. Lot jak „po sznurku”, według wytyczonej trasy. Zwykły powszedni lot i powszedni dzień pracy załogi.

Te czterdzieści minut poprzedziły całonocne przygotowania.

Najpierw jest rozkaz dowódcy eskadry i odprawa. Zapoznanie z ogólnymi założeniami ćwiczeń, cała trójka szczegółowo studiując mapy, dane uzyskane przez zwiad i komunikat „meteo”. Wtedy przystępują do opracowania taktyki lotu. Trzeba być przewidującym i pomysłowym w pokonaniu wszystkich przeszkód terenowych i ogniowych nieprzyjaciela. Wykonanie zadania lub przypadkowy bój trwa przecież kilka sekund. Wtedy nie czas na namysły, wszyscy muszą działać mechanicznie.

Potem kolej na lekarza. Jak nigdzie, tu łatwo o zwolnienie lekarskie. Wystarczy nie wyspać się, zjeść nieprzepisowe śniadanie lub mieć lekki katar, by na dużych wysokościach i szybkości bliskiej dźwięku, doprowadzić do nieszczęścia. „Łapiduch” jest więc surowy, zaleca dietę i odpoczynek.

To jest dnia poprzedniego. Na chwilę przed startem — ostateczny przegląd maszyny i wyposażenia załogi. Tutaj nie ma części nieważnych. Każdy szczegół opatrzonej jest w plombę gwarancyjną, założoną sumiennie przez mechaników. Oni spędzają przy maszynie kilkanaście godzin przed każdym lotem. Wraz z całą obsługą naziemną: punktem dowodzenia, kontroli, łączności, służbą meteorologiczną i lekarzem — wszyscy oni przyczyniają się do bezpieczeństwa i prawidłowości lotu.

— Ziemia, ziemia, tu „Kamila-45”! Dajcie zezwolenie na lądowanie! — taśma magnetofonu rejestruje głos niewidocznej załogi. Ale „Ziemia” wie doskonale, gdzie znajduje się czterdziestka piątka.

— Zezwalam lądowanie.

Znad lasu potężnie huk silników bombowca. Ciężkie nieforemne cygaro zniża płynnie swój lot. Grube pneumatyki kół rozpalczyły się przy pierwszym zetknięciu z ziemią, dymiąc smolącym kaucukiem. Samolot podkładał na swoje miejsce. Zatrzymały się stopery, wskazówki pokazywały czas zgodny z planem.

Z włączonych wychyliły się sylwetki załogi. Znowu byli razem. Tam w powietrzu, choć działali wspólnie, dzielili ich grube blachy pancerzy osobnych kabin. Lecz i wtedy nie czuli się samotnie, łączyła ich bowiem nie tylko żyła radiofonu, lecz także przyjaźń, oparta na zaufaniu i wspólnych żołnierskich przeżyciach.

Na wsi małżeństwo

„A więc to tak? To dlatego, że jestem na wsi i ciężko pracuję nie mam prawa żyć tak, jak ludzie z miasta, nie mam prawa kochać?”

Na wieś kino przyjeżdża rzadko i wyświetla stare filmy. Na wsi nie ma kawiarni ani tanecznego kręgu. Na wsi, gdy deszcz pada, kończą się spacer, bo nogi toną w błocie. Na wsi w bibliotece szkolnej wszystkie książki są już przeczytane, a nowych przybywa mało. Na wsi piękne dni lata są dniami najcięższej pracy, a odpoczywa się „po śmierci”.

Tego wszystkiego wystarczy, by młodzież wiejska parła do miasta lub do fabrycznych osiedli. Ale ostatnio przyłączył się nowy motyw, który u dziewcząt tak dalece góruje nad poprzednimi, że o innych prawie nie wspominają.

Młode kobiety ze wsi nie chcą wychodzić za mąż według tradycyjnych kryteriów: morgi za morgi, sąsiadka za sąsiada, córka przyjaciół za syna zaprzyjaźnionego „rodu”. Dziewczęta chcą małżeństwa z miłości.

Romantyczność

„Mariusz dobry to chłopiec, ma zalety, które powinien mieć mój wybrany — pisze jedna z autorek w konkursie na pamiętnik młodego pokolenia wsi — ale brak tu bodajże najważniejszego, uczucia. Jestem zupełnie nieczuła na jego pieczyotę...”

„Teraz do małżeństwa potrzebna jest miłość” — pisze inna. Trzecia: „Najważniejsze, żeby on mnie kochał, a ja jego”. Czwarta: „Żeby ożenił się ze mną z miłości”.

Te same dziewczęta, zapytane podchwytliwie w ankiecie, czy wyszłyby za mąż bez miłości za chłopca pracującego w mieście, wykształconego z atrakcyjnym zawodem — odpowiedziały, z wyjątkiem jednej: nigdy.

Socjologowie, badający pamiętniki i ankiety, nazwali taką postawę „internalizacją romantycznego wzoru małżeństwa z miłości, upowszechnianego przez współczesne środki oddziaływania kulturalnego”. Ale małżeństwo z miłości nie jest odkryciem ostatnich czasów, choć nie tyle upowszechnienie, co nowe warunki bytu i stosunki społeczne sprawiły, że ten ideał zszedł pod strzechy. Zapytajmy więc z kolei, jaki typ młodzieńca może być przedmiotem romantycznych uczuć dziewcząt.

Wykształcony, towarzyski, elegancki

Tylko jedna z autorek odpowiada na to pytanie: „Na pierwszym miejscu stawiam, żeby nie był alkoholiczkiem”. Inne pomijają takie zastrzeżenie, nie dlatego, żeby miały się godzić z nadużywaniem alkoholu przez przyszłego męża, lecz ponieważ sądzą, że w cechach którymi obdarzają wzór mężczyzny, pięć ponad miarę po prostu się nie mieści. „Mógłby być biedny, ale żeby go kochała i miał dobre wykształcenie”. „Umiejący się ładnie zachować”. „Żeby nie był ponury, a towarzyski, wesoły, musi umieć tańczyć”. „Żeby ładnie i modnie się ubierał, był zawsze czysty i elegancki”.

Do tych wymagań dochodzą inne,

już całkowicie związane z propagowaną od kilku lat (głównie przez prasę kobiecą) rolą mężczyzny w domu i w rodzinie. „Żeby pracą w domu była podzielona”. „Żeby miał takie same poglądy jak ja, pa-trzył na świat współcześnie”, „Żeby wszystkie troski razem ze mną przeżywał”. Jest to ideał związku, zwanego przez socjologów „partnerским” — niezależnie, czy realizują go mieszkańcy miast czy wsi, naukowcy czy małorolni chłopcy. Jeśli jednak pamiętamy wynik podobnych badań prowadzonych wśród młodzieży robotniczej, uderzy nas różnica w poglądach na wykształcenie przyszłego męża. Dziewczęta miejskie pragnęły, by wyższą pozycją zawodową mężczyzny przerzuciła cała rodzinę pomost do awansu społecznego. Dziewczęta wiejskie widzą wzór partnerstwa w fakcie, że mąż nie wybiega wykształceniem przed żonę. „Nigdy nie wyszłam za mąż za człowieka, który miałby znacznie wyższe wykształcenie ode mnie”. „Wykształcony ma być w tych granicach co ja”.

Rodzice i „rajki”

Ale ideały — ideałami, a życie życiem. Krystynę L., której pamiętnik cytowałam na początku artykułu, rodzice zmuszają do małżeństwa w imię interesu gospodarstwa. Jej koleżanka pisze: „Mama powiedziała Julkowi, że za rok ożeni się ze mną, ja nie chcę się z tą myślą pogodzić. Na moje słowa, że mi się nie podoba, mama odpowiedziała: Jeszcze mi tu rządzić od dziś nie będziesz!”

Rodzice na wsi mają nadal decydujący głos w sprawach związków małżeńskich potomstwa i, jeżeli dziewczyna zostaje na gospodarstwie, jedynym sposobem realizacji ideału jest „iść się zakochać w odpowiednim (w rozumieniu rodziców — IF) miejscu”.

A więc swaty... „Swatanie, czyli „rajki” są u nas powszechne — pisze młoda mieszkanka Białostocczyzny — bo przy takim swataniu może uda się zdobyć więcej posagu i ziemi”. Swatanie w klasycznej formie utrzymuje się również jeszcze w Lubelskiem, Rzeszowskiem i na Mazowszu. Ale właśnie dziewczyna z Kurpiów napisała w pamiętniku: „Gdyby swaci przyjechali po mnie, dwa tygodnie ze wstydu nosa za drzwi bym nie wytknęła, bo młodzież śmiałaaby się ze mnie”.

Niezwykłość pamiętników, na których oparliśmy artykuł, nie polega na tym, że dziewczęta wiejskie wyraziły jednomyślnie pragnienie wyjścia za mąż z miłości. Ostatecznie, pod każdą szerokością i długością geograficzną panieński ideał szczęścia wygląda podobnie. Tematem pamiętników nie była jednak miłość i małżeństwo, ale dążenia i zamierzenia młodych mieszkank wsi. I jeżeli dziewczęta mogą dziś sobie pozwolić na to, by w ich planach życiowych miłość zajmowała miejsce naczelnie — jakich innych dowodów trzeba, żeby stwierdzić, iż w okresie między pamiętnikami chłopaków z lat trzydziestych a obecnymi tak wiele i tak na dobre się na wsi zmieniło!

Zofia Andrzejewska

Z księgi ziemi

najnowsze odkrycia bardzkiej ekipy archeologicznej, zajmującej się obecnie badaniami cmentarzyska kurhanowego w pobliżu Świelubiu — bogato wyposażonego m. in. w wyroby skandynawskie z połowy IX w.

Do cmentarzyska kurhanowego położonego w lesie mamy jakieś pół kilometra drogi, prowadzącej przez zamuloną łąkę. W tym czasie dowiaduję się ciekawych szczegółów kołobrzeskich dociekań archeologicznych.

Badania w Kołobrzegu — Budzistowie oraz w całym tym rejonie mają duże znaczenie dla nauki. Ich wyniki zaprzeczają bowiem koncepcji badaczy niemieckich o rzekomej pustce osadniczej we wczesnej fazie średniowiecznej na tych ziemiach. Wysoki poziom rozwoju gospodarki, rzemiosła, handlu — począwszy od warzelnictwa soli, poprzez hutnictwo, kowalstwo, obróbkę rogu i kości, bursztynu, drewna, skóry oraz garncarstwo — pozwalała stwierdzić, że kultura materialna mieszkańców tych ziem była już w pełni ukształtowana w VIII wieku naszej ery. Ciągłość zaś kultur potwierdza teorię autochtonizmu, której autorem jest nestor polskiej archeologii, profesor Józef Kostrzewski. Założeniem tej teorii jest twierdzenie, że teryn między Odrą a Wisłą od czasów kultury łużyckiej — a więc od przeszło trzech tysięcy lat — zamieszkuje jeden i ten sam lud. Teoria ta, mająca przez wiele lat dużo przeciwników, znalazła dziś

swe pokrycie w odkryciach archeologicznych, których rozmach w Polsce w ostatnim dwudziestolecu nie ma w sobie równych w Europie. W samym tylko 1964 roku prowadzono prace badawcze na 300 stanowiskach archeologicznych. Ich wyniki dowodzą, że nakładające się na siebie kultury mają wiele cech ciągłych. Ludność zamieszkała w dorzeczu Odry i Wisły uprawiała przez setki lat te same zboża, hodowała podobne zwierzęta domowe, stosowała podobny sposób wyrobnictwa itp.

Cmentarzysko w Świelubiu znajduje się na zalesionym wzgórzu pokrytym pagórkami, tworzącymi razem duże kolisko. To właśnie kurhany. Kilka z nich jest rozkopanych a nakładające się w ich przekroju na siebie warstwy ziemi stanowią dla archeologów księgę dziejów naszych przodków, zamieszkałych tu przed wiekami. W maleńkiej pracowni wyposażonej w prymitywne, zbite z desek, meble, oglądam wykopane skarby. Każda cząsteczka owinięta w watę znajduje się w osobnej kopercie zawierającej opis znaleziska. Misterna ozdoba tarczy, błyszczące niebiesko-dymnym kolorytem paciorki, części spinek — są tak precyzyjnie i pięknie wykonane, że mogłyby z powodzeniem służyć współczesnym.

Gród w Bardach podupadał w miarę rozrastania się grodu w Kołobrzegu, który dzięki korzystnemu sąsiedztwu z morzem nabiera pod koniec X wieku coraz większego znaczenia politycznego, stając się ośrodkiem pomorskim państwa piastowskiego, siedzibą biskupstwa podległego arcybiskupstwu gnieźnieńskiemu. Ten okres jednak można już prześledzić w źródłach pisanych. Księga ziemi zaś, starsza od wszelkich zapisów i sięgająca najgłębiej w jej historię, daje nam coraz pełniejszy obraz pracy i życia ludzi, będących pierwszymi posiadzielami tych ziem.

Achtung „Spinne“!

Co pewien czas na łamy prasy całego świata powraca temat-bumerang: czy rzeczywiście szef NSDAP, Martin Bormann, zginął w Berlinie, czy też — ocaliwszy skórę — ukrywa się po dziś dzień gdzieś w Południowej Ameryce. Ostatnio temat ten raz jeszcze podjął „Przekrój”. Trudno przewidzieć, czy kiedykolwiek tajemnica zniknięcia Bormanna zostanie wyjaśniona w sposób definitywny. Ale wiadomo dzisiaj ponad wszelką wątpliwość, że setki, tysiące hitlerowców wysokiej rangi, zdołało uciec sprawiedliwości, chroniąc się na kontynentach południowoamerykańskim i afrykańskim. Tuż po kapitulacji Trzeciej Rzeszy, liczni hitlerowcy zmuszeni byli ratować się na własną rękę. W miarę jednak upływu czasu sposoby opuszczania przez nich terytorium Niemiec zostały udoskonalone i przybrały zorganizowany charakter. Ostatnio do wiadomości opinii publicznej przedostały się — via Izrael — nowe informacje, dotyczące działalności organizacji byłych hitlerowców „Die Spinne” („Pajak”). Myśl powołania jej do życia zrodziła się jeszcze w ostatnich dniach istnienia Trzeciej Rzeszy. Jednym z czołowych współorganizatorów „Pajaka” jest pułkownik SS, Otto Skorzeny, który pod koniec ostatniej wojny zdobył na łamach prasy hitlerowskiej popularność za wykradzenie Mussoliniego z rąk aliantów.

Skorzeny zorganizował w Hiszpanii centralę „Pajaka”; jego sieci sięgnęły Ameryki Południowej, Zjednoczonej Republiki Arabskiej oraz Bliskiego Wschodu. Główna kwatery „Pajaka” ma się znajdować w rybackiej wsi Denia na południowo-wschodnim wybrzeżu Hiszpanii*). W zapadniej tej miejscowości działa „Biuro podróży”, prosperujące nadspodziewanie dobrze. Biuro ma swoją klientelę; rekrutuje się ona spośród ekshiterowców, pragnących znaleźć się zdala od europejskiego zgiełku kampanii, domagających się konsekwentnie ścigania i karania zbrodniarzy wojennych.

Przemysł SS, SA i SD-mannów do Afryki Północnej lub na kontynent południowoamerykański jest — jak twierdzą pewne koła w Izraelu — finansowy przez niektórych czołowych przemysłowców NRF. Na pokrycie wydatków, związanych z przetrzucami byłych hitlerowców poza kontynent europejski, mają służyć ponadto bogactwa, zebrane przez gwardię fűehrera w czasie wojny, a następnie starannie ukryte. Za fałszywe paszporty i nowe nazwiska trzeba płacić... Przygotowanie dla uciekinierów mieszkań i pracy w miejscu, do którego się udają, czy raczej do których są dostarczani przez organizację „Pajak” — także wymaga odpowiednich nakładów finansowych.

„Biuro podróży” w Denia pomocne jest również tym hitlerowcom, którzy w obawie przed identyfikacją, uznali za celowe okresowe zmienianie miejsca pobytu. „Reisebuero”,

położone na hiszpańskim wybrzeżu Morza Śródziemnego, organizuje im odpowiednie trasy, którymi podróż okazuje się względnie bezpieczna. Toteż niepozorny hotel w Denia cieszy się nadszyczaną frekwencją, ku radości kierownika — pana Otto Bremera, pułkownika SS w stanie spoczynku, ongiś posiadacza legitymacji NSDAP nr 462.775.

W zacisznym hoteliku nad brzegiem morza, zapobiegliwy Herr Bremer dekuje swoich gości do momentu, kiedy realnie staje się wyprawienie ich stacjami, kursującymi pomiędzy hiszpańskim wybrzeżem a niewielkimi portami marokańskimi. Na wybrzeżu północnoafrykańskim podopiecznymi organizacji „Pajak” interesują się już inni agenci siatki, zapewniając im podróż do Casablanki. Stanowi ona dla byłych hitlerowców coś w rodzaju punktu rozdzielczego, skąd są transportowani w kierunku Zjednoczonej Republiki Arabskiej, bądź oczekują na sposobność podróży do którejś z republik południowoamerykańskich.

Trudno z całą pewnością określić, w jakim stopniu twierdzenia kół izraelskich w Jerozolimie, precyzyjnie przedstawiają rozmiary rzekomej pomocy ZRA dla byłych hitlerowców; jednakże zgodnie z informacjami wymienionych kół, poprzez Casablankę i Kair udało się uciec co najmniej pięciuset hitlerowcom i zbrodniarzom wojennym. W pewnym sensie potwierdzenie tego może stanowić historia pułkownika SS — Hansa Waltera Zeh-Nenntwicha, skazanego w NRF w styczniu za ucieczkę z więzienia, której dokonał w roku 1963. Otóż nie kto inny jak sam Zeh-Nenntwich oświadczył w toku rozprawy przed sądem, iż ucieczka powiodła mu się (rozprawa, o której mowa, odbyła się w związku z jego powrotem do NRF i oddaniem się w ręce policji) dzięki pomocy pracownika ambasady ZRA w Bonn...

Zeh-Nenntwich nie opisywał przed trybunałem, czy i jak witano go po przybyciu do Egiptu. Skądinąd jednak słyszy się, iż spora emigracja hitlerowska w tym kraju, reprezentowana jest przez komitet, na którego czele stoi zasłużony ekspert do spraw żydowskich, podwładny Josepha Goebbelsa w ministerstwie propagandy, dzisiaj już 63-letni profesor Omar Amin vel Johannes van Leers.

Miejscowość Denia, o której była mowa, jest tylko jednym, aczkolwiek bardzo ważnym, punktem etapowym rozbudowanej, podziemnej organizacji byłych hitlerowców. Jej pającza sieć sięga czterech kontynentów i powiązana jest z tajnymi organizacjami hitlerowskimi, działającymi w Niemczech zachodnich.

Bractwo spod znaku swastyki czeka lepszych czasów. Niektórzy jeszcze się łudzą, a już...

*) „New York Herald Tribune”, 8 II br.

Z tajemnic hitlerowskiego podziemia

Na co te rezerwy?

Dokończenie ze str. 1

odpowiednie środki. Środki, stanowiące rezerwę inwestycyjną, dysponowaną centralnie, a także przez resorty i województwa.

Podobna rezerwa, ale już w dziedzinie funduszu płac — służyć powinna zwiększeniu zatrudnienia ponad plan, jeśli tego wymagają zmiany w programach produkcyjnych. Mówiąc jasniej: jeśli otrzymamy dodatkowe intratne zamówienia eksportowe albo jeżeli dla zmian struktury spożycia w kraju niezbędne stanie rozwinięcie produkcji atrakcyjnych ale pracochłonnych wyrobów, powinna istnieć możliwość uruchomienia odpowiednio zwiększonego funduszu płac.

Założenia dotyczące odpowiedniej wielkości i odpowiedniej struktury zapasów dotyczą także określonych nadwyżek artykułów konsumpcyjnych oraz rezerw dewizowych — na wykorzystanie dogodnej koniunktury na rynkach zagranicznych.

Nieco inny charakter mają rezerwy w rolnictwie: wynikać one będą z innej metody planowania, polegającej na ustalaniu planów na poziomie średnich wyników lat ubiegłych. Takie skromne i realne programowanie pozwoli na stworzenie pewnych zasobów rezerwowych.

Można chyba śmiało powiedzieć, że polityka rezerw daje gwarancje znacznie spokojniejszej i bardziej planowej działalności ekonomicznej, a zatem jej znacznie wyższej efektywności.

TADEUSZ SAPOCIŃSKI

Rumuńskie perspektywy

23 sierpnia 1944 roku w Bukareszcie wybuchło antyfaszystowskie powstanie zbrojne, zorganizowane i kierowane przez Rumuńską Partię Komunistyczną. Rząd kolaboracyjny Antonescu został aresztowany. Rumunia przystąpiła do koalicji antyhitlerowskiej, której zwycięska ofensywa z lata 1944 roku doprowadziła do rozgromienia hitlerowskiej Rzeszy.

Uwolniony od najeźdźców kraj przystąpił do pracy nad przebudową swej struktury społecznej, usuwaniem reliktów feudalizmu i tworzeniem bazy dla rozwoju gospodarczego. O przeobrażeniach gospodarczych w Rumunii najlepiej świadczą pewna mała rocznica, obchodzona niedawno w Bukareszcie — setna rocznica otwarcia pierwszej wystawy ekonomicznej w stolicy Rumunii. W małym domku przy ulicy Ziduri Mosi, gdzie na raz mogło wejść tylko 50 osób, eksponowano wówczas paprykę i pomidory, wyroby skórzanego i rzeźby w drzewie, a jeden z ówczesnych ekonomistów, Aurelian, pisał: „Na tym oczywiście musimy poprzestać, nie mamy przecież przemysłu”.

Dziś każdy rok przynosi realizację lub zapowiedź budowy nowych obiektów przemysłowych. Pracuje już fabryka aluminium w Oradea, Dunaj przegradzają „Żelazne Wrota” — potężny kompleks hydroenergetyczny, budowany wspólnie z Jugosławią. Racjonalna eksploatacja bogactw surowcowych Rumunii, niegdyś stanowiących „złotą żyłę”

obcego kapitału, pozwoliła stworzyć bazę dla rozwoju przemysłu chemicznego, który m. in. zaopatruje rolnictwo w cenne nawozy sztuczne. Dalsza rozbudowa tej gałęzi przemysłu pozwoli zwiększyć produkcję rolną o 20—24 proc.

Wydarzeniem dużej wagi w życiu Rumunii był lipcowy Zjazd Rumuńskiej Partii Komunistycznej. Nakreślił on wszechstronny program dalszego rozwoju ekonomicznego, który przewiduje m. in. podniesienie realnych płac o 20 do 25 proc. do 1970 roku, podjęcie kroków w celu zapewnienia poprawy bytu rencistów. „W następnych latach — głosi rezolucja IX Zjazdu RPK — Rumunia będzie nadal rozwijać braterską współpracę z krajami-członkami RWPG i ze wszystkimi krajami socjalistycznymi w ramach międzynarodowego podziału pracy. Równocześnie, uwzględniając międzynarodowy podział pracy w skali światowej, Rumunia będzie rozwijać kontakty gospodarcze ze wszystkimi krajami, niezależnie od ich ustroju społecznego, w oparciu o zasadę wzajemnych korzyści”.

Przemiany społeczne i ekonomiczne jakie dokonały się w Rumunii w ciągu minionych dziesięcioleci uzasadniają nową nazwę państwa rumuńskiego — Socjalistyczna Republika Rumunii. W dniu święta narodowego rumuńskich braci, naród polski życzy im dalszych nieprzerwanych sukcesów. (API)

Eugeniusz Pauksztą

Przekłady PIW-owskie

W wyborze Joanny Guze, a w przekładzie F. Sniadeckiej-Wowerowej otrzymaliśmy pekały tom Stendhala pt. „Wybór z pism różnych”. Tom ten ma na celu pokazanie Stendhala jako osobowości niesłychanie wszechstronna, bogata, o własnym osadzie zjawisk, o dużej odwadze przeciwstawiania się panującemu opinii. W wyborze znajdujemy prace takie, jak np. „Historia malarstwa”, „Salon 1824”, „Rzym, Neapol, Florencia”, „Przechadzki po Rzymie”, „Pamiętnik turysty”. A więc teren obserwacji rozległy, na którym sady Stendhala dotyczące sztuki zaskakują wielką trafnością i wnikliwością nie tylko artysty ale i polityka.

W pięknej serii „życie codzienne”, tak bardzo rozchwytywanej, odnotowujemy nową pozycję. Jest to Paula Zumthora „Życie codzienne w Holandii w czasach Rembrandta”. Piękna to, choć miejscami zbyt sucha w opisie monografia o bogatym wieku kultury holenderskiej. Obraz XVII-wiecznego społeczeństwa tego kraju jest bardzo pełny, udokumentowany w dodatku materiałem ilustracyjnym.

Rzadko dociera do nas książka hinduska. Tym większa radość, że otrzymujemy tom wysokiej klasy, nagrodzony najwyższą nagrodą Indii, powieść Thakazhi Sivasankara Pillai „Prawo morza” (przekład Zofii Sroczynskiej). Bardzo surowa w moralnych kryteriach, przypominająca nieco klimat skandynawskiej literatu-

ry, stylem zaś każąca snuć pokrewieństwa Hemingway'owskie, książka ta ukazuje życie rybaków na wyizolowanym od świata, rządzącym się prastarymi tradycjami, wybrzeżu Kerala. Morze jest surowe, ale i darzy łaskami tych, którzy nie użalają się nad etycznym życiem bogini Katalama. Zna ona łaskę ale nie waha się w karach. Dobra, mocna, uczciwa powieść.

A teraz „Marnotrawcy”, Marina Predy, reprezentanta nurtu chłopięcego w literaturze rumuńskiej, który w swej nowej książce sięgnął tym razem do zagadnień nurtujących środowiska inteligencje, ich reprezentantów czyniących swymi bohaterami. Autor patrzy na swych bohaterów, ukazanych w całej galerii, krytycznie. Wysuwa w stosunku do nich tezę marnotrawienia życia, czasu, energii, uczucia. Czy jest to jednak powieść antyinteligentka? Na pewno nie. Autor atakuje pewne nurty, schorzenia, ale entuzjastycznie się przeciwstawia takim wartościom jak miłość i przyjaźń, jak głęboka zaufania międzyludzkiego, w nich widząc wyjście z wszelkiego impasu, właśnie karty poświęcone obronie tych wartości, są w książce najpiękniejsze.

Inny typ literatury reprezentuje pisarz estoński Juhan Smuul książka pt. „Morze Japońskie — grudzień”. Jest to zbeletryzowany, przesycony wstawkami filozoficznymi dziennik podróży autora z ekspedycją meteorologiczną

na wodach Pacyfiku. Autora interesują slosunki międzyludzkie, patrzy na nie z humorem, z uśmiechem, ale nie waha się i w wydawaniu surowych osądów. Oprawa książki są urocze, bardzo delikatna kreska malowane opisy krajobrazu oceanicznego.

Kapitały jest ten niby to „notatnik myślowy” Gawiila Trojepeolskiego „W szuwarach”. Ze świetnych zapisów myślowych, z gawęd i rozważań pośród oszałamiającej przyrody, wyłania się nieć ciekawej fabuły, mocno udratylizowana, bogata w szczegóły życia ludzkiego, ukazująca integralność powiazań ludzkich losów z naturą, która można użarżmiać, ale której praw również należy przestrzegać. Wyjątkowo urocza książka.

Mamy też dwie nowości Kiku. „Piasek żyje” Pierre Moinola w przekładzie Hanny Oledzkiej, to Korsyka i jej bujna przyroda jako tło wielkiej przygody miłosnej, która uwalnia bohatera od zmór okupacyjnych. Te dwa wątki, wspomnieniowy i kontrastowy przez całą scenerię, współczesny, splatają się ze sobą w sposób mistrzowski.

„Wspaniałe życie” Johna Braine, to jakby ciąg dalszy losów bohaterów „Wielkiej kariery”, książki znanej również i z filmu. Okazuje się, że stabilizacja jest złudna, że na każdym szczeblu „kariery” grozi niebezpieczeństwa, a życie lubi snuć wątki tragicznych często dramatów. Świetnym w płaszczyźnie są północne okolicy przemysłowe Anglii, tłem bardzo integralnie związanym z całą akcją utworu.

Z KSIĄŻKĄ NA TY

Przeglądamy Prasę

REFORMA CZYNŚZÓW

Sprawa ta znalazła odbicie m. in. w obszernym komentarzu pt. „Reforma czynszów”, opublikowanym przez „Życie Gospodarcze”. Czytelnicy prasy codziennej znają już zasady reformy. Ograniczmy się więc tutaj do zacytowania fragmentu komentarza:

„...Reforma czynszów musi znaleźć swoje odbicie w całej gospodarce. Plany przemysłu powinny przewidzieć konieczność dodatkowych dostaw materiałów budowlanych, armatury itp., przeznaczonych na remonty mieszkań. Musi również poprawić się wyposażenie przedsiębiorstw remontowych w sprzęt, a limity zatrudnienia i płac — ulec odpowiedniemu zwiększeniu. Tylko wtedy istnieje będzie realna szansa odczuwalnej poprawy w poziomie utrzymania budynków mieszkalnych. Mielimy nadzieję, że nacisk społeczny ze strony samorządu mieszkańców — obecnie znacznie zwiększony, bo oparty na zasadzie: „płacę i wymagam” — odegra w tym procesie istotną rolę.”

SOPOCKI FESTIWAL

Niektóre tygodniki poświęcają niedawno zakończonego Festiwalowi w Sopocie sporo miejsca. „Kultura” zamieszcza dwie pozycje: Stanisława Grochowiaka „W pobliżu ełity...” i Janusza Głowackiego „Manewry czerwonych i czar-

nych na zachodniej granicy”. Obie pozycje poświęcone są nie tyle piosenkarzom i piosenkom ile klimatowi towarzyszącemu tej imprezie, nie tyle temu co się dzieje na estradzie i widowiu, ile temu co w „Monopolu” i na ulicach Sopotu. Ciekawe to spostrzeżenia, nie pozbawione pikantnych szczegółów.

S. Grochowiak pisze:

„Paradoks brzmi: Festiwal w Sopocie mógłby się na dobrą sprawę obyć bez koncertów. Zdaje sobie sprawę że paradoks jest tylko paradoksem, ale równocześnie zapewniam czytelników, iż owe cowieczorne trzy godziny w Operze Leśnej spełniały rolę koniecznego bo koniecznego, lecz nudnawego obrzędu. Odświętna atmosfera wymagała liturgicznego znaku, i oto co wieczór godzono się na odprawianie nabożeństwa. Emocje, podziw, zachwyt i marzenia pozostawały poza a-fiteatrem w lokalach i kawiarniach, na ulicach i deptakach Gdańska i Sopotu.”

Również „Życie Literackie” publikuje artykuł Wojciecha Dziędaszyckiego pt. „Nie kopać leżącego”, poświęcony „Sopotowi 65”. Autor wytyka jury szereg potknięć, przeoczeń, pomyłek itp. Ma również pretensje do repertuaru polskich piosenkarzy i piosenek. Opisuje też opinie jednego z przedstawicieli zachodnich wytwórni płyt, który po wysłuchaniu w adańskiej rozgłośni radiowej taśmy z 40 piosenkami polskimi (koncert odbył się dla małej grupki obserwatorów i dziennikarzy) powiedział: Polacy to dziwny naród — dla kilku tysięcy słuchaczy festiwalowych dała w konkursie jedną, jedyne piosenkę kameralna, intelektualna i trudna — a tutaj przed 10 słuchaczami demonstrują 40 komuni-

katywnych, melodyjnych, przebojowych piosenek, typowych „szlagierów”.

BEZ APELACJI

Ci, którzy pamiętali z TV ostatni program pt. „Bez apelacji” na pewno jeszcze raz chętnie przeczytali kilkanaście listów, publikowanych w „Tygodniku Kulturalnym”, które napłynęły do redakcji tego programu w związku z losami chłopców-bliźniaków, oddanych przed 8 laty na wychowanie do państwa Tacków w Ładku Zdroju. Obecnie naturalna matka dzieci chce je odebrać. To właśnie było tematem audycji, która głęboko poruszyła opinie publiczną. Jak zwykle w takich sprawach jedni wypowiadali się za pozostawieniem dzieci w przybranej rodzinie, inni byli za oddaniem ich matce-rodzicielce. Lekcja listów bardzo ciekawa budząca jak zwykle w takich przypadkach dużo refleksji.

KARIERA PORUCZNIKA KLOSSA

To tytuł zamieszczonego w „Polityce” wywiadu z reżyserem Andrzejem Konicem, przygotowującym popularny cykl TV widowisk sensacyjno-przygodowych pt. „Stawka większa niż życie”. Janina Zdanowicz w rozmowie z reżyserem docieka przyczyn kariery i popularności porucznika, a ostatnio kapitana Klossa, którego ora Stanisław Mikulski. Oto mówi A. Konic:

„Tyle robiliśmy w ciągu ubiegłych lat, żeby zbuzzyć mit romantycznego bohaterstwa, a tymczasem potrzeba takiego bohatera jest nadal najbardziej żywotna. Nie jestem socjologiem, ale wydaje mi się, że w dużym stopniu jest to zależne od środowiska. Nie należy też zapominać, że Kloss jest bohaterem widowiska sensacyjno-przygodowego, za-

spokajają tęsknotę młodzieży za przygodą, działają na jej wyobraźnię. Jakże często młody chłopak z nim się identyfikuje! Zresztą pewne cechy Klossa, wewnętrzne i zewnętrzne, mogą stanowić wzorzec postępowania i na dziś: zimna krew, niepoddawanie się przeciwnościom losu, panowanie nad sobą w każdej sytuacji. Tę „maskę” nawet — nie okazywanie gwałtownych emocji, granie raczej półtonami — zapewne dla niektórych denerwująca, można zaaprobować w naszym zwykłym, codziennym postępowaniu. Nie mówiąc już o tym, że jakkolwiek Kloss nie odpowiada bezpośrednio na zainteresowanie aktualną problematyką społeczną, nie rozwiązuje doraźnych konfliktów — przemysła jednak sporą porcję dydaktyki społecznej. Jest wzorem patriotyzmu, odpowiedzialności, poświęcenia bez reszty dla sprawy ogółu, co więcej, daje przykład cichego bohaterstwa.”

ZWRACAMY TEŻ UWAGĘ...

...na kilka innych, godnych polecenia pozycji. „Kultura” publikuje drugą część „Zbioru Raportów Komórki Wiezionej Delegatury Rządu i Międzyorganizacyjnego Porozumienia Wzięzionego”. Dokumenty dotyczą bestialstw, popełnianych przez hitlerowców na Pawiaku; „Życie Gospodarcze” — „Od eksperymentu do reformy w przemyśle lekkim” (Leszek Brzeziński); „Życie Literackie” opowiadanie Tadeusza Hołuj pt. „Skrzydła”; „Polityka”: Andrzej K. Wróblewski „Haszysz na czterech kółkach” (autor przedstawia relacje z podróży po 5 krajach demokracji ludowej); „Żołnierz Polski” — cały numer poświęcony lotnictwu.

LEKTOR